

# I. J. Singer



Josie Kałb

Izrael Jozua Singer

JOSIE KAŁB

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-68384-05-5

Tekst: Rój, Warszawa 1934

Redakcja: zespół

## **Spis treści**

**CZEŚĆ PIERWSZA**

**CZEŚĆ DRUGA**

**CZEŚĆ TRZECIA**

# CZEŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ I

W wielkim galicyjskim dworze cadyka reb Mełecha z Nieszawy szykowano się do wesela jego najmłodszej córki, Serele. Oj, spieszyło się cadykowi z wydaniem jej za mąż!

Był to człowiek gwałtowny, ów cadyk reb Mełech. Sześćdziesięciokilkuletni, opasły, z wielkim brzuchem, nad którym długi, żółtawy, turecki tałeskuten wzdymał się, jak u kobiety w końcowym okresie ciąży, jurny był mimo to i pełen wigoru. [Tałeskuten – krótki kaftan obramowany frędzlami, zwanymi cycles, który stale noszony jest pod ubraniem przez pobożnych Żydów] Jego wylupiaсте piwne oczy spoglądały wokół tak przenikliwie, że zdawały się niemal wyskakiwać z orbit. Poprzez gęstwinę jego brody i pejsów, poprzez całą gmatwaninę zarostu na szyi i sfałdowanym karku, widać było jak się w nim krew burzyła, jak tryskały z niego zdrowie i energia.

Zapalczywy, głośny, o wydętych, zmysłowych wargach, nieustannie ssących grube, dymiące czy zgasłe cygaro, uparty był i despotyczny. Gdy się na coś wziął, to dopóty poganiał i popędzał, aż swoje osiągnął.

Tak i z wydaniem córki za mąż pędził na oślep. Nie myślał nawet o przeczekaniu Zielonych Świąt, lecz wyznaczył ślub na trzydziesty trzeci dzień Długiej Pokuty, która wypełnia okres dzielący Zielone Świątki od Wielkanocy. [Wielkanoc – Pesach, Święto Wolności upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu]

Ze strony narzeczonego, syna cadyka z Rachmaniówki w Rosji, energicznie przeciwstawiano się temu gwałtownemu pośpiechowi rebego Mełecha z Nieszawy.

Przez cały rok, w ciągu którego okres narzeczeństwa córki nieszawskiego cadyka, Serele, z Nachumciem, synem rebego z Rachmaniówki, krążyły listy polecone z cesarsko-królewskiej Galicji do Rosji i z powrotem. Listy cadyka z Rachmaniówki, pisane kunsztowną hebrajszczyzną, według wszelkich zasad gramatyki – co słowo to perełka – zmierzały wszystkie do jednego celu: jak najdalej odwlec przedślubne układy i opóźnić wesele o kilka lat.

„Wasza Wielebność – długich Jej lat życzę – wie doskonale – pisał cadyk z Rachmaniówki – że zarówno narzeczoncy, jak i narzeczone – oby długo w zdrowiu żyli – są przecież jeszcze dziećmi, mają ledwie po lat czternaście, a w zwyczaju jest u nas od czasów dziada naszego – oby duch jego obdarzył nas łaską – nie śpieszyć się zbytnio z podobnymi sprawami. Ponadto narzeczoncy dopiero co rozpoczął, pod kierownictwem uczonego talmudysty rebego Psachje Zwilera, naukę «Jore Dea» i szkoda byłoby zaiste przerywać mu rozpoczęte studia”.

Na dworze nieszawskim prawnicy cadyka z wielkim zapalem odlepiały z kopert znaczki pocztowe z podobizną rosyjskiego cara. Nie zdążył jeszcze cadyk oprawnym w perłową masę nożykiem porozcinać listów, a już chłopcy, śliniąc palce, zdejmowali znaczki zagraniczne.

– Dziadku – pytali wszyscy naraz – który cesarz jest ładniejszy: nasz czy rosyjski?

– Nasz... Bez porównania... – odpowiadał gniewnie, opędzając się kołpakiem od wnuków cadyk reb Mełech, entuzjastyczny zwolennik cesarsko-królewskiej monarchii austriackiej. – Dajcie mi przeczytać list, próżniaki.

Listów swego przysłego mechutena cadyk reb Mełech nie znosił. [Mechuten – ojciec zięcia] Te cyzelowane litery, takie wykwintne i wypieszczone, jak sam ich autor, cadyk z Rachmaniówki, wyprowadzały go z równowagi. Wielu wyrazów, zaczerpniętych z Pisma Świętego, nie rozumiał wcale, omijał je więc, jak się omija kacerskie nowinki. Głównie jednak gniewało go to, że z tamtej strony zwlekano z weselem. Ze złości wsysał się

wydętymi, zmysłowymi wargami w zgasłe, wilgotne cygaro i wściekał się na gabe Srula Awigdora, że go nie było nigdy pod ręką, by mu cygaro zapalić. [Gabe – pomocnik i starszy sługa cadyka, zarządca bóżnicy]

– Srul-Wigdor! – krzyczał, choć tamten nie słyszał. – Srul-Wigdor, już ja cię nauczę!...

Nie, reb Melech nie znosił listów swego przysłego mechutena. Czuł się mocno dotknięty tym ciągłym odwlekaniem ślubu córki. Od roku już bowiem sam cadyk, reb Melech, był wdowcem. Trzecia jego żona, matka Serele, młoda jeszcze, zaledwie trzydziestoletnia kobieta, zmarła ze swym maleństwem na szkarlatynę. Rebemu dziecka nie bardzo było żal, pierwsze bowiem jego żony, które poślubił i pochował, obdarzyły go licznym potomstwem. Synami i córkami, zwłaszcza zaś córkami.

Cały dwór był pełen dzieci, wnuków, prawnuków. Wszystkie mieszkały w tym oto wielkim, podobnym raczej do koszar, murowanym, rabinowym gmachu o nagich ścianach i wysokich oknach z blaszanymi, wirowymi wentylatorami w górze. Wciąż tu coś dobudowywano, dosztukowywano, włączano nowe mieszkania, całe piętra, tak by miejsca starczyło dla wszystkich. Dostawiane domki, ganki i oficyny, pozbawione wszelkiego stylu i formy, tuliły się do głównego budynku i bóżnicy, jak małe, obdarte żebraczątka do starego, barczystego, ślepego żebraka. Wciąż odbywały się tu zabawy, wesela, obrzezania, zaręczyny, gratulacje, confirmacje, uroczystości pierwszych nauk Pięcioksięgu Mojżesza. Wnucząt we dworze było tak wiele, że sam rebe, człowiek o nie bardzo tęgiej głowie, często plątał je z sobą, nie pamiętając, które z nich od którego z jego dzieci pochodzi. Było to we dworze powodem wielkiego rozgoryczenia ich rodziców.

Nie bardzo przeto było mu żal zmarłego dziecka. Bardziej ubolewał nad stratą swej żony, rabinowej. Tę trzecią więcej od pierwszych dwóch kochał. Pamiętał ją jeszcze, jak młoda była, wesola i krewka. Przypominał sobie, jak pewnej nocy dziwne mu rzekła słowa:

– Gdybyś nie miał takiej długiej brody – powiedziała byłbyś jeszcze wcale młody...

Też pomysł kobiety!

Słowa te, choć niezbyt skromne – poprzednie żony bały go się, odnosiły się do niego z wielkim respektem i w ogóle nie rozmawiały z nim – te słowa sprawiły mu wielką radość. Zapamiętał je na zawsze. Nawet na pogrzebie, gdy opłakiwał żonę, i opowiadał chasydom o jej bogobojności i cnocie, przyszły mu one, właśnie te słowa, na myśl. [Chasydzi, chasydyzm – ruch religijno-mistyczny, którego twórcą był Baal Szem Tow żyjący w XVIII w. na Podolu. Chasydyzm oparty jest na tradycyjnym judaizmie talmudycznym i Kabale. Przywódcą duchowym grupy chasydów jest cadyk, rebe, wybrany nauczyciel.] I tak się rozszlochał, aż trzęsła mu się broda i pejsy. Chasydzi lamentowali jak baby. Wszyscy sądzili, że po śmierci tej żony cadyk więcej się nie ożeni.

– Bez uroku, w tym wieku... – mawiali do siebie synowie rebego, jak zresztą zwykli mówić ze sobą dzieci cadyków o swych ojcach, którzy zasiedzieli się zbyt długo na swym rabinackim stolcu.

Córki jego, tęgie, rozlane kobiety, mówiły również o tym ze swymi mężami, nie wierząc, by ich ojciec mógł się jeszcze teraz żenić. Ze Świętych Ksiąg, tłumaczonych na żydowski, wiedziały, że żadna żydowska córka nie powinna poślubić mężczyzny, który pochował już trzy żony. Taki mężczyzna zwie się katlen, to znaczy katem kobiet.

– Ech – uspokajały swych mężów, którzy zawczasu już się obawiali nowych spadkobierców – nie wierzymy... Któż to żydowska córka zechce narażać życie?...

Lecz sam nieszawski rebe miał inne wyrachowanie. Zupełnie inne. Szykował się do ślubu, i to do ślubu z młodą dziewczyną, która mu wpadła w oko.

Wśród rabinów i potomków cadyka, którzy stale jeżdżą do Nieszawy, był syn rabina, reb Mechele z Hywniewa, który również miał zostać rabinem. Był on jednak jakałą i głupkiem, tak że własny jego wuj z łatwością zdołał pozyskać sobie wszystkich jego chasydów. Mechele jeździł przeto po świecie, zbierając jałmużnę, i od czasu do czasu wpadał

do Nieszawy. Otóż u tego rebego Mechele z Hywniewa wychowywała się jego krewniaczka, sierota, również rabinowa wnuczka, dziewczyna biedna, bez posagu.

Zawsze, ilekroć reb Mechele żegnał się z cadykiem z Nieszawy, wręczając mu kwitek z wypisaną nań prośbą, wspominał tam o swej sierocie. O dobrą partię dla niej prosił w tym kwitku reb Mechele. I nieszawskiemu cadykowi utkwiło to w pamięci.

Tę dziewczynę on sam sobie swatał.

Zupełnie niespodziewanie począł serdeczniej podejmować jąkałę, na którego dotąd najmniejszej nie zwracał uwagi. Przy stole podsuwał mu najlepsze części, osobiście podawał kilkakrotnie wino, polecił swemu gabemu sadzać go na zaszczytnym miejscu, pomiędzy wyróżnionymi gośćmi. Na pożegnanie zamykał się z nim w oddzielnym pokoju, częstował go cygarem. Pewnego razu przy podobnej okazji podarował mu nawet swą bursztynową cygarniczkę.

– Palisz w zwyczajnej cygarniczkę, jak posługacz kąpielowy – rzekł mu – ech, nie wypada nawet... synowi rabina...

I zaraz potem przystąpił do rzeczy.

– Jestem jeszcze, chwała Bogu – powiedział, wybałuszając na jąkałę swe wylupiaste oczy – w pełni sił; powiedz tej dziewczynie, że będzie miała jeszcze, z boską pomocą, dorodnych synów. I niech się nie obawia poślubić katlena, gdyż nie jest to żadne prawo, tylko zwyczaj, i w dodatku niemądry zwyczaj. Ja w to nie wierzę, ja...

Z przyjemnością cmoknął przy tym kilkakrotnie, pociągając z wygasłego cygara, chwycił jąkałę za wyliniąłą brodę i szybko wyrzekł:

– A wy będziecie moim mechutenem. Przy moim stole będziecie zasiadać.

Słowo mechuten tak wzruszyło biednego kalekę, że pozwolił się wodzić za brodę rozpromienionemu rebemu Melechowi. Z radości cadyk biegał po pokoju, nie wypuszczając z ręki brody jąkały.

– Myślę właśnie, że jest to zupełnie w porządku – wyrzekł jąkała jednym tchem, nie zająknąwszy się nawet.

Dodało mu to takiej odwagi, że naraz spróbował przytoczyć świetny przykład, który słyszał zwykle od ojca swego, gdy temu przedstawiano dogodną jakąś propozycję: „Garnek koszerny i koszerna miska”.

Lecz przy tych słowach zaciął się tak mocno, że omal nie udławił się trudnymi wyrazami. Wtedy wreszcie rebe puścił jego brodę, biorąc w rękę własną.

Zapytać o zdanie narzeczonej rebemu nie przyszło nawet na myśl. Wiedział bowiem, że jest sierotą, bez centa posagu, którą przygarnął wuj, również nędzarz, i że będzie uważała za szczęście zostać żoną rabina nieszawskiego.

Jedyną przeszkodę stanowiła dla rebego Melecha jego najmłodsza córka, Serele, jedynaczka po zmarłej trzeciej żonie. Ożenić się przed wydaniem jej za mąż nie mógł. Podrażniłoby to wszystkich synów i córki, zakotłowałyby się cały dwór. I chasydom nie poszłoby to w smak. Broń Boże, nic by nie powiedzieli. Uważaliby, że tak być powinno, lecz do serca by im to nie przypadło. Dlatego też śpieszył się bardzo z wydaniem czym prędzej Serele za mąż, by zaraz po jej ślubie, samemu, po raz czwarty stanąć pod baldachimem z dziewczyną-sierotą.

– Urodziwa – określił mu jąkała dziewczynę. – Piękna, jak świat – mówią kobiety.

Choć jej nigdy nie widział, wyobrażał ją sobie jako podobną do swej ostatnio zgasłej żony, za którą tęsknił bardzo. Toteż gorączkowo kończył przedślubne ugody o swą córkę.

W liście do rebego z Rachmaniówki sam mu podsunął myśl o tym małżeństwie. Gdy ten odpowiadał półsłówkami, nie zwlekając wyjechał zobaczyć się z nim w Karlsbadzie, dokąd chory na kamienie żółciowe cadyk z Rachmaniówki udawał się rokrocznie na kurację. Na pozór wyglądało to tak, że rebe nieszawski niby to czuje się nietęgo i że kąpiele pójdą mu na zdrowie. A podczas spacerów tak długo gardłował, z taką zapalczywością i zawziętością

wmawiał to małżeństwo w rebe go z Rachmaniówki, aż gwałtem wymusił na nim zgodę. Nawet osobistej swej godności nie oszczędzał przy tym niezawski rebe. Choć wiekiem starszy od cadyka z Rachmaniówki i mający o wiele większą ilość chasydów, swych zwolenników, poniżał się przed tamtym, przyrzekał znacznie grubszy posag, niż pozostałym swym córkom.

– Nno – wzdychał – niech już będzie jeszcze jeden tysiączek. Skoro wy macie chłopca, to wy jesteście górą.

Rebe z Rachmaniówki skrzywił się na te słowa.

– Górą... ee... – bąknął. – Górą... co za określenie...

Cadyk z Rachmaniówki był kontrastem rebe go z Nieszawy.

Wysmukły, o miękkiej szpakowatej bródce, schludnej i lśniącej jedwabście, o głębokich, czarnych mistycznych oczach, o jakby rzeźbionej, prześwietlonej twarzy, o chorobliwej oliwkowej cerze i wąskich, wydłużonych palcach, igrających nerwowo, a przecież spokojnie, z małą złotą tabakierką, w śnieżnobiałym sztywnym kołnierzu rabinowym na matowo-jedwabnej, dobrze skrojonej kapocie – odcinał się wyraźnie od swego niezawskiego mechutena.

O ile niezawski rebe, przez swe gęste owłosienie i obrzękłą tuszę, był pośmiewiskiem uliczników, którzy mu wymyślali od kozłów i baranów, wołając za nim: – Cap, cap!... Meee – o tyle cadyk z Rachmaniówki wzbudzał ogólny podziw. Jasnowłose wiedenki pożerały go oczami.

– Ach, jaki piękny jest ten rabin-cudotwórca! – Mężczyzna o takich ciemnych oczach potrafi kochać do szaleństwa. – Nieprawdaż?

Cadyk z Rachmaniówki nie znosił swego mechutena. Wstydił się go nawet. Znieść nie mógł jego dzikich wybryków, cmokania cygara, ciągłego spluwania, rozwichrzonej, atlasowej kapoty, kołtuniastej brody i pejsów. Nie cierpiał jego ochryplego głosu, wymachiwania rękami, niechlujnego wysławiania się, całego tego owłosionego cielska, zalatującego ostrą wonią potu, mykwy, rzemieni od tefilin, ciasta domowego wypieku i miodu. [Mykwa – łaźnia rytualna] [Tefilin – małe skórzane pudełeczka szczęśliwe przywiązywane rzemieniami do lewego ramienia i czoła, zakładane podczas modlitwy porannej w dni powszednie. Zawierają cztery fragmenty Pięcioksięgu spisane ręcznie na pergaminie.]

W rozmowie z cadykiem z Rachmaniówki reb Melech gestykulował gwałtownie, deptał mu po nogach, przypierał go co chwila swym wielkim brzuchem do coraz to innego drzewa, chwycił go za guziki, szturchał łokciami, zabiegał mu drogę, choć miejsca było pod dostatkiem, obijał mu boki, powtarzał dziesięć razy tę samą myśl, połykał słowa, opryskiwał go śliną i chwycił raz po raz za wypieszczoną bródkę.

Już choćby tylko dlatego, by go się wreszcie pozbyć, zgodził się rebe z Rachmaniówki na małżeństwo. Znieść już nie mógł ciągłego targowania się o posag i podarunki ślubne, tego dzikiego cielecego zachwyty, a szczególnie owych zalatujących od cadyka z Nieszawy zapachów. Podczas całej rozmowy cadyk z Rachmaniówki ani na chwilę nie odejmował od nosa swej złotej tabakierki.

– Aa, aa – upajał się – co za aromatyczna tabaka!

Na małżeństwo przystał, lecz z wyznaczeniem terminu ślubu zbytnio się nie śpieszył. A rebe niezawski nie przestawał zarzucać go listami. Cadyk z Rachmaniówki znał dobrze powody tego pośpiechu. Motie-Gudł, jego gabe, złośnik o ostrym jastrzębim nosie, zacięty przeciwnik cadyków galicyjskich, doręczając swemu rebemu listy z Nieszawy, drwił sobie zawsze z tamtego mechutena.

– Śpieszy mu się do ślubu, temu niezawskiemu – mawiał – ta dziewczyna nie daje mu się modlić spokojnie. Nie dziwota... po trzech żonach... taka praktyka...

Rebe skrzyczał swego gabe.

– Zbyt złośliwy jesteś, Motie – strofował go – twój język zaprowadzi cię do piekła. Lecz Motie-Gudł wiedział, że w rzeczywistości cadyk jest z jego słów zadowolony. Rebe nie chciał osobiście czytać listów swego mechutena, lecz dawał je do odczytania swemu gabe. Nawiasem mówiąc, zazdrościł nawet tego małżeństwa staremu. W tym wieku z tak młodą dziewczyną...

– Oby słowa moje nie były grzeszne – mawiał do swej żony, kobiety chorowitej, bladej, nerwowej, o pergaminowej cerze, na której dziedzictwo wielu pokoleń rabinów wycisnęło swe chorobliwe piętno – ale czemu się tak pali ten mój mechuten? Dobre to dla młodego wdowca...

Lekko westchnął przy tym kilkakrotnie.

Małżonka jego, kobieta wyjątkowo mądra, o prawdziwie męskim rozumie, o niezwykle subtelnej intuicji, która cechuje istoty chorowite, wyczuła w słowach męża odcień zawiści do mechutena. I uraziło ją to w samo serce. Przygryzła blade wargi i cichutko wyciedziła:

– Niech robi, co chce. Ja mego Nachumcie do Galicji nie pošlę. Przecież to dziecko jeszcze... nie ma się czego śpieszyć.

Cadyk z Rachmaniówki odpisywał swemu mechutenowi kunsztowne listy – co słowo to perełka – starając się nie wykazywać mu swej niechęci. Przeciwnie, zasypywał go wielkimi, przesadnymi tytułami oraz mądrymi cytatai i przypowieściami z Talmudu, ale wykręcał się od ostatecznej odpowiedzi. [Talmud – zbiór piśmiennictwa religijno-doktrynalnego judaizmu, opracowany w dwóch wersjach: jerozolimskiej i babilońskiej. Składa się z Miszny i Gemary.]

Oboje, ojciec i matka, choć w ogóle o tym z sobą nie mówili, wiedzieli dobrze, że jeszcze za wcześnie żenić Nachumcie. Podobny do ojca, wysoki, smukły, delikatny jak młoda dziewczyna, Nachumcie był chłopcem nerwowym i przeczulonym, jak jego matka oraz wszyscy przodkowie tego szlachetnego rodu cadyków. Był przy tym zagadkowy, pociągała go Kabała. [Kabała – najczęściej używany termin na określenie tajemnych nauk judaizmu i mistyki żydowskiej. Podstawowe dzieło Kabały – Księga Zohar.] Nie pomagały perswazje ojca, który usiłował go przekonać, że trzynastoletni chłopak powinien raczej zajmować się Talmudem, nie zaś Kabałą – Nachumcie nie ustępował. Zamykał się samotnie w pokojach, by mu tam nikt nie przeszkadzał i zagłębiał się w tajemniczych, mistycznych studiach. Dziwnymi chadzał drogami ów młody Nachumcie. Milczek, zamknięty w sobie, spoglądał wokół wielkimi rozwartymi oczyma, nie widząc przy tym nic, co się dookoła niego dzieje. Tajemnie szykował się nawet do wielkich jakichś spraw. Wyczytał gdzieś o kabaliście Ari, który zaklęciami wywoływał żywe gołębie, i chciał mu w tej sztuce dorównać. Chodził często do mykwy, powtarzał dziwaczne imiona aniołów i uprawiał posty.

Ojciec usiłował odciągnąć chłopca od tych praktyk. Cadyk, człowiek o usposobieniu raczej świeckim, smakosz i wygodniś, esteta, zrozumieć nie mógł skrytości chłopca, jego zaparcia się samego siebie i uporu.

– Musisz wiedzieć, Nachumcie – rzekł kiedyś do niego – że dziadek twój – niech pamięć jego spłynie na nas w łasce – zwykł był twierdzić, że głuptaski nawet w niebie nie są mile widziani...

Wcale nie miał ochoty odsyłać go do Nieszawy, do tych krzykaczy i świętoszków. Obawiał się, że dopiero tam chłopiec się wykolei i wyrośnie na dzikusa.

Matce małżeństwo to również nie przypadało do serca. Nieraz jej jedwabna chusteczka mokra była od łez, gdy Nachumcie pościł lub chodził, jak błędny. W dodatku, będąc za granicą, miała możliwość przyjrzeć się jego przyszłej żonie, Serele. Podobna do ojca, jeszcze jako trzynastoletnia dziewczyna była już dojrzałą, krewką kobietą. Miała silne nogi, rude włosy, mocne zęby i tak wydatny biust, że nawet piersi rabinowej w okresie karmienia Nachumcie nie mogły mu dorównać. Przypomina to sobie teraz zupełnie wyraźnie. Pożerała



narzeczoną oczyma istoty duchowo wyższej, oczyma, które na zwykłe kobiety spoglądają z zazdrością o ich wybujaną kobiecość.

– Tfu, tfu – udawała często, że pluje, by w ten sposób uchronić ją przed złym urokiem – bez uroku, co za dziewczyna...

Porównywała ją z Nachumciem, z tym delikatnym i subtelnym chłopcem, i jej matczyne serce cierpiało.

– Oby tylko byli szczęśliwi – szeptała – takie to jeszcze delikatne...

Pragnęła szczerze i otwarcie rozmówić się z mężem, lecz wszyscy tu byli zbyt subtelni, by nazywać rzeczy po imieniu. Zresztą rozumiano się bez słów. Rabinowa w liście do swego mechutena odważyła się nawet napisać kilka słów o swym przywiązaniu do „dziecka”.

W pięknej, godnej uczonego mężczyzny hebrajszczyźnie pisała o swym Nachumcie i zakończyła biblijnym cytatem, słowami Judy do brata jego, wicekróla Józefa, o Beniaminie, którego ten odważył się zatrzymać w Egipcie.

„A dusza moja jest związana z jego duszą”.

Lecz rebe nieszawski nawet czytać nie chciał, co pisze kobieta.

„Wasza Wielbność wie – donosił swemu mechutenowi, nawet słówkiem nie wspominając o dopisku jego małżonki, wywodząc słowa niekształtne, równie niedbałe i postrzępione, jak on sam, nieszawski rebe – słowa, w których roiło się od błędów, opuszczeń i urwanych końcówek – że w zwyczaju u nas jest jeszcze od pradziadów nie zwlekać ze ślubem dłużej niż rok. Co się zaś tyczy studiów nad «Jore Dea», które narzeczoney – oby długo żył – rozpoczął pod kierownictwem swego wykładowcy, to nie mogą one stanowić przeszkody, ponieważ po pierwsze nie brak, chwała Bogu, w Nieszawie uczonych Żydów, po drugie zaś mógłby wykładowca przybyć wraz z narzeczoną do Nieszawy i przebywać we dworze tak długo, jak mu się żywnie będzie podobało.”

Jednocześnie nadszedł złoty zegarek dla narzeczonego; ciężki, gruby, z podwójnym łańcuszkiem, jak zwykli na opasyłach brzuchach nosić dorobkiewicz.

Obaj mechuteni oszukiwali się wzajemnie, urągali sobie zaocznie, pisali przesadne, pełne zachwytów listy i poznawali się na swych wzajemnych podstępach. Innego wyjścia jednak nie było. Rebe nieszawski, dzikus i uparciuch, nie dał się zbić z tropu. Wysyłał telegramy, posłańców. Niemożliwe było unieważnić ugody małżeńskie. Co świat na to powie? I cadyk z Rachmaniówki, łagodny i pełen umiaru, nie znoszący udręczeń i zmęczony tumultem nieszawskiego rebego, prędko dał za wygraną i zgodził się na przyspieszenie terminu ślubu.

– Lepiej jest ciąć pergamin – niż drzeć papier... – odezwał się do żony.

Nie musiał jej, tej mądrej głowie, tłumaczyć, co miał na myśli: że lepszy rozwód, niż zerwanie zaręczyn. Jej zaś zależało przede wszystkim na jednej rzeczy: odwlec wesele przynajmniej do końca lata, by wraz z synem skorzystać z dobrodziejstw zagranicznych kurortów, pokrzepić trochę narzeczonego, a po drodze zasięgnąć porady u wiedeńskiego profesora. Ale nieszawski rebe i na to przystać nie chciał.

„Wasza Wielbność wie – pisał – że zwyczajem u nas, jeszcze od pradziadów, wesela są odprowadzane w trzydziestym trzecim dniu święta «Długiej Pokuty».”

I uroczystości weselne zostały wyznaczone na ów dzień.

## ROZDZIAŁ II

Zaraz po Wielkanocy, na kilka tygodni przed weselem, rojno i gwarno było na dworze nieszawskim.

Uczniowie jeszybotu zawczasu już, jak zwykle przed uroczystością, przerwali naukę, włóczyli się beczynniami i docinali sobie nawzajem dwuznacznymi dowcipami. [Jeszybot –

szkoła teologiczna kształcąca rabinów i nauczycieli religii] Dopiero pod wieczór, spodziewając się wizyty cadyka, sięgali po naddarty Talmud, udając hałaśliwie, że pilnie studiują.

Pieczeniarze, stali „stołownicy” dworu, odżyli naraz, poczuli się u siebie w domu. Zdierali wprost skórę z wiejskich Żydów, którzy przyjeżdżali po błogosławieństwo do cadyka. Rzucali się po prostu na kobiety, powracające od rebego. Z krzykiem „oby się spełniły wasze życzenia”, wywoływali taki rwetes, że niewiasty, nie krępując się, na ich oczach sięgały za staniki, podnosiły spódnice i ze zwiniętych w obwarzanek pończoch wyciągały węzłki, ofiarowując im miedziaki.

– Cóż wy sobie myślicie – krzyczeli – groszaki dajecie. Co?!...

Targowali się, życzyli szczęścia i zdrowia, zabierali kobietom ostatnie pieniądze, nie pozostawiając im nawet na zapłacenie furmanki. Wykradali u skąpych a bogatych nowożeńców woreczki z tałesem i u szynkarzy zastawiali je za miarkę miodu. [Tałes – biały szal w czarne paski nakładany przez Żydów do modlitwy w sobotę i święta.] Wciąż pętali się koło kuchni, gotowi każdej chwili chapnąć jakiś tłusty kąsek.

Starsi pieczeniarze, o wielkich wzdętych brzuchach i gęstych brodach, nawet w powszednie dni nie zdejmowali z siebie postrzępionych, sobotnich atłasowych kapot, i w trzynastokątnych kołpakach, po kozacku na bakier, paradowali jak w święta.

Modlono się w pośpiechu, opuszczając całe ustępy, jak w czasie świąt Symchat Tora. Modlitw pokutnych w ogóle tu nie odmawiano, zawsze bowiem szykowano się do jakiejś uroczystości. Zawczasu już z miast i miasteczek przybywało coraz więcej darmożjadów. Próźniacy, korzystając z okazji, pozostawiali żony i dzieci i śpieszyli do Nieszawy na wyżerkę.

**KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU**

**ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI**